Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Cena egzempl. 50 gr

# kuźnica

miesięcznik poświęcony zagadnieniom współczesności i śląska

ROK II. CZERWIEC 1936 NR. 6.

T R E Ś Ć :



## Żywe siły.

### O drugi akt.

Marszałek Piłsudski systemu ideologicznego nie stworzył ani też chciał stworzyć. Jego czyny i życie noszą przedewszystkiem charakter moralny. Najpierw był nakaz walki o niepodległość, potem polityczne ugruntowywanie niepodległego już państwa. Źródłem decyzyj, regulatorem biegu okrętu państwowego był on sam, a nie ustrój społeczny i ideologja. Nie dziw więc, że tuż nazajutrz po Jego śmierci orędzie Pana Prezydenta składa odpowiedzialność za dalsze losy Państwa na barki wszystkich. W gruncie rzeczy mówi to, że trzeba przystąpić do drugiego aktu, tj. rozwiązywania bytu narodu w tem Państwie w oparciu o inne źródła energji i siły, by nie stanąć bezradnie na rozdrożu. Bez aprobaty i współudziału większości narodu niema mowy o tworzeniu nowych form życia społecznego na długie lata przyszłości.

Wyłoniła się przeto sprawa kontaktu i współpracy obozu rządzącego ze społeczeństwem. Nim się jednak mogły zarysować jakie takie możliwości realizacji tego postulatu, samo hasło kontaktu zostało przekreślone przez ordynację wyborczą. Fikcyjność, nieszczerość, a nawet cynizm tego hasła w praktyce życia okazały się aż nadto widoczne. Bo jak można zapraszać do współpracy i kontaktu, skoro do ciągnięcia łańcucha, o którym mówił Gen. Rydz-Śmigły, nie chce się dopuścić innych. Bo my sami... Poprostu grupy opozycyjne miały przyjść na podwórko grupy rządzącej i tańczyć podług jej muzyki.

Opozycja odpowiedziała na to wzmożoną działalnością, gorączkowem odrabianiem zaległości, wzrostem sił w terenie. Niemniej jednak góry partyjne opozycji prowadzą ze sanacją gry i kombinacje. Tylko nie z sanacją jako z całością, ale z poszczególnemi jej odłamami, w zależności od pokrewieństwa ideowego. Albowiem zaczynają się zacierać granice sanacji i opozycji. Terminy te stracą niebawem aktualność i przejdą do archiwum historji.

### Walka czy cisza.

Wyłania się więc sprawa nowego ustosunkowania się czynników rządzących do społeczeństwa. Zapowiedź tego brzmiała w przemówieniu Gen. Rydza Śmigłego do legjonistów. Chodzi o to, czy rządzić Polską wyłącznie jak dotąd z dążnością do rozproszkowywania społeczeństwa, czy też, pozwalając na jego organizowanie się polityczne u dołu, wiązać je u góry w zgodnym wysiłku na wspólnej platformie obrony kraju, co nie będzie nastręczało żadnych trudności.

Pierwsze stanowisko: pokutuje jeszcze w pewnych odłamach obozu pomajowego niechęć do politycznego

organizowania się społeczeństwa, istnieje jeszcze obawa przed potwórnem zanarchizowaniem życia publicznego. Stąd to hasło pracy jedynie przy swoim warsztaciku, jakgdyby lepsze jutro ktoś nieznany dla kogoś stworzył. — Ta chęć wyeliminowania z życia społecznego pierwiastka walki zbankrutowała. Przecież nawet w dobrych czasach, kiedy los nie bije nikogo po głowie, organizuje się społeczeństwo na podstawie politycznej. Zresztą niema dziś w Polsce siły i żadna mądra siła nie pójdzie na rozproszkowywanie społeczeństwa, bo tego nie da się — zrobić. Tendencje do ciszy są przejawem słabości i nierozumienia życia.

Możliwe zatem jest i jedyne na najbliższą przyszłość drugie stanowisko. Obawy przed zanarchizowaniem politycznem są płonne, jeśli się z jednej strony weźmie pod uwagę, że Państwo przeciw anarchji i wywrotowej działalności ma własne mocne środki, z drugiej postawi zasadę nieszukania anarchji tam, gdzie jej niema. Istotnie anarchiczne i wywrotowe przejawy gnieść będzie samo odradzające się społeczeństwo, partyjki znów i grupki albo będą się zbijać w większe ugrupowania, albo też ginąć.

### W poszukiwaniu żywych sił.

Lecz to są rozważania o słuszności i aktualności takiej lub innej taktyki, takiej lub innej możliwości na najbliższą przyszłość. Chodzi o rzecz ważniejszą: o idee, pod których sztandarem będzie się grupować społeczeństwo i o siły, które je będą wcielały w życie. To są właśnie dwie kapitalne sprawy. Nie wystarczy dziś szermować hasłami takiemi, jak praca dla państwa i wszystko dla państwa, jeśli za temi hasłami nie kryją się warunki na faktyczną pracę i na takie cnoty, jak patrjotyzm, ofiarność. Przecież dziś wielkie warstwy narodu nie mogą tak pracować dla Polski, jakby chciały. Powie ktoś, niech każdy pracuje dobrze na swym własnym posterunku, a już będzie dobrze. A jednak choć każdy dobrze spełnia swe powinności na swym posterunku, (choć i tu każdy nie może tak, jakby chciał), w bilansie ogólnym naszego życia zbiorowego są wciąż minusy. Pracę musi uskrzydlać coś więcej niż tylko zasada: praca dla samej pracy. Hasło musi mieć konkretną treść. Chodzi zatem o taką ideę, któraby istotnie mogła pociągnąć do służby czy pracy dla Polski cały naród. Wtedy to hasło nie będzie ogólnikiem, jakże często bolesnym. Stoi więc przed temi siłami, co chcą wziąć w swe ręce odpowiedzialność za przyszłość Polski, sprawa zdynamizowania ideowego i gospodarczego jej życia. A to jest sprawa nie krótkodystansowego programu i krótkodystansowej ideologji!

Jakie są siły żywe w Polsce, które mogą sięgnąć po tę rolę? Czy są niemi obóz niepodległościowy wraz z przybudówkami i obozy opozycyjne? Pretendują do tego zadania. Jest to pokolenie, co ukształtowało najnowszą historję Polski. Swój okres bohaterski przeżyło w walce o niepodległość i w pracy nad budową zrębów państwowości. Czy jest jeszcze zdolne do wydobycia z siebie takiej samej dozy sił i napięcia, by wygrać bitwę o wielką przyszłość Polski? W czasach normalnych, gdy życie społeczne niejako automatycznie się toczy w ustabilizowanych brzegach, pytanie o jakieś specjalne walory brzmiałoby dość dziwnie, nie żyjemy jednak w czasach normalnych.

Ale pokolei: w obozie niepodległościowym wytworzyła się jakaś psychoza niezadowolenia. Poprostu więcej ludzi spodziewało się uznania, zaszczytów, ułatwień itp. Rtęć tego niezadowolenia podnosi się odrazu, jak tylko pojawi się jakaś chmura nad zdobytym przez ten obóz stanem społecznego i politycznego posiadania. Taka atmosfera nie jest atmosferą bojową. To nie jest już niezadowolenie rodzące czyn.

Zdaje się, że słowa o ukształtowaniu przyszłości nie tyle wypływają tu z wiary w dalszą misję, ile raczej z chęci dalszego trwania na zdobytych pozycjach i z ambicji nieprzyznawania się do weteraństwa. Jest jeszcze jedno pytanie: czy obóz ten potrafi w społeczeństwie zbudzić tyle zaufania, by wytworzyć odpowiedni ruch? Odpowiedź zbyteczna. Jednego nie musi się obawiać: że nowe siły, które po nim przyjdą, zaprzepaszczą jego wielką spuściznę lub nie będą żywić kultu dla jego bohaterskiej przeszłości. Ten kult w młodszych i nadchodzących pokoleniach będzie jedynie rósł. Ale, na Boga, nie trzeba nas tą przeszłością tyranizować.

Nie wezmą na swe barki losów Polski grupy opozycyjne. Nie zdały egzaminu przed majem, nie zdadzą go obecnie, kiedy już potrzeba do walki i innych walorów moralnych i innych metod pracy i inaczej trzeba przyszłość widzieć. Ich siły rosną obecnie naskutek pustki w obozie przeciwnym i dzięki żywiołowi młodzieżowemu.

To też w najbliższej przyszłości należy się spodziewać nie wkroczenia w szranki tych nowych, prawdziwych sił, ile raczej wzajemnych ustępstw sił starych dla siebie: grup pomajowych i opozycyjnych dla wytworzenia jakiejś namiastki demokratycznego rządzenia. Podyktuje to zarówno niemożność uporania się z trudnościami przez obóz rządzący jak i niemożność wysadzenia go z siodła przez opozycję. W gruncie rzeczy będzie to klajstrowanie.

### Odpowiedzialność wezmą nowe siły.

Wytworzyć je może tylko powojenne pokolenie. Nietylko lepiej rozumie ducha czasu, ale potrafi również zdobyć się na takie czyny, jakich ten nowy czas wymaga. A to jest najważniejsze! Wszak dziś, kiedy się z jednej strony widzi konieczność wkroczenia na śmielsze drogi i słyszy ciągle zapowiedzi i wypowiedzenia w tym kierunku: że trzeba to i owo, a z drugiej

to dreptanie w miejscu, gubienie po drodze czasu, programów, rozchodzenie się ich po kościach biurokracji, albo mizerne wykonanie, dochodzi się do przekonania, że właśnie brak już teraz temu pokoleniu zdolności czynu, wiary w możność realizacji większych programów i że właśnie te imponderabilja są decydującym czynnikiem w pracy i walce. Pokolenie przedwojenne i nawet w wielkiej mierze wojenne jest historycznie skończone. — Takie postawienie zagadnienia nie wyklucza starszego pokolenia wszelkiego udziału w życiu, — oznacza natomiast, że komenda na różnorodnych placówkach winna przejść w ręce inne. W ręce, które będą to robić z pasją i będą umiały w koncepcje i programy wlać duszę i wiarę.

**Marksizm czy nacjonalizm.**

Te nowe siły szły dotąd luzem, a często po bezdrożach. Tendencje do szukania stycznych i uświadamianie sobie potrzeby tego szukania datują się od niedawna. Grzeszyłbym naiwnością, sądząc, że wszystkie grupy znajdą wspólny język, — nie idzie tu o jakiś totalizm, — zwycięską ofenzywę scaleniową większości grup przeprowadzi grupa, która wykaże pełną samodzielność organizacyjną, ideologiczną i najtęższy element ludzki. Owocem takiej ewolucji rzeczy winien być potężny ruch społeczny, na który Polska czeka od lat. Przedtem jednak musi dojść do wykrystalizowania szeregu pojęć i oczyszczenia placu z wielu złudzeń i fałszywych poglądów. Bo prócz zapału reformatorskiego i rozmachu pracy, prócz haseł i programu najbardziej zasadnicze będzie podłoże światopoglądowe tego ruchu. Byłoby zbytniem uproszczeniem załatwić się z tą sprawą przez podział na marksizm i nacjonalizm, — niemniej jednak w tych dwuch kierunkach odbywają się przemiany ideologiczne młodszych grup. Takie bowiem lub inne stanowisko światopoglądowe każe kłaść akcent na takie, a nie inne sprawy, w takim, a nie innym iść kierunku. Nacjonalizm np. wysuwa na czoło mocny naród, silne państwo, religję, więc zjawiska wrogie marksizmowi albo też inaczej przezeń traktowane. A nie jest rzeczą obojętną, co w politycznem działaniu uważa się za pierwsze, a co za drugie.

Słowo nacjonalizm straszy u nas wielu ludzi: nosi na sobie markę społecznie reakcyjnego i zmonopolizowanego przez jedną partję ruchu. Tu jednak mowa nie o społecznie reakcyjnym i zmonopolizowanym nacjonalizmie. Tu idzie o nacjonalizm, wprzęgający w budowanie państwa, kultury, bytu, słowem przyszłości cały naród. W tem ujęciu zarzucanie nacjonalizmowi reakcyjnej treści społecznej jest śmieszne. Grupy, głoszące hasło przebudowy społecznej, plątające się dziś między nacjonalizmem a marksizmem, w praktyce nie mające z tym ostatnim nic wspólnego, a do pierwszego nieprzyznające się spowodu wspomnianych zarzutów, muszą wreszcie zrozumieć, że przebudowa społeczna jest warunkiem potęgi narodu, zatem środkiem do celu. Celem jest naród. Zresztą dziś nawet ci, co się odrzekali nacjonalizmu, zaczynają go kokietować albo wręcz szczerze uznawać.

Polska musi wybrać taką drogę, która uczyni ją silną i będzie odpowiadać jej psychice i potrzebom. Koncepcja nacjonalizmu, wyzwalająca siły mas ludowych przez przebudowę ustroju społeczno-gospodarczego, jest tą drogą. Dwa potężne strumienie: dynamika narodowa i społeczna, zlane w jeden nurt mogą dać upragniony ruch, co z Polski stworzy zbrojny siłą duchową, materjalną i techniczną: Naród.

PAWEŁ MUSIOŁ.

# Płk. Matuszewski przeciw zarządzeniom dewizowym.

W ostatnich miesiącach prowadził płk. Matuszewski bardzo ożywioną działalność publicystyczną, której głównym celem była propaganda poglądów gospodarczych, jakie sam wyznaje. W pokaźnej serji artykułów zajmował się Matuszewski ustaleniem zasad i metod polskiej polityki ekonomicznej, których zastosowanie winno wyprowadzić gospodarstwo Polski z tego położenia, w jakiem znajduje się obecnie. Wspomniane artykuły wywołały w prasie polskiej wszelkich odcieni obfitą i namiętną dyskusję (prasa kapitalist., „Kurjer Poranny“, „Front Robotniczy“). Niektórzy z dyskutantów postawili M. b. ciężkie zarzuty, posuwając się aż do nazwania jego programu programem „dziadostwa narodowego“. Nie wchodząc w tej chwili w ocenę zapatrywań Matuszewskiego, co do których zresztą wypowiedziałem się już krótko na łamach „Kuźnicy“ (w art. „Ludzie bez jutra“), zajmę się w tych uwagach ostatnim z cytowanej serji artykułem Matuszewskiego p. t. „Przepisy dewizowe“. „Przepisy dewizowe“ charakterystyczne są nietylko dlatego, że wyłożył w nich autor swój pogląd na ostatnie zarządzenia dewizowe rządu, ale również dlatego, że wynika z nich stosunek autora do całokształtu polityki gospodarczej rządu, który niedawno ustąpił, ściślej do polityki gospodarczej min. Kwiatkowskiego.

To ostatnie znamienne jest dlatego, ponieważ jak przypominają sobie czytelnicy Kuźnicy, na jesieni ub. r., gdy min. Kwiatkowski przedstawił swój program gospodarczy, płk. Matuszewski w obszernych wywodach na łamach „Gazety Polskiej“ pod progra-

mem Kwiatkowskiego umieścił swoje żyro, które obecnie wycofał. Wycofał je zaś dlatego, gdyż jak twierdzi, min. Kwiatkowski zboczył z wytkniętej na początku swego urzędowania linji, linji konsekwentnej deflacji, przez co nie osiągnięto spodziewanej poprawy gospodarczej i zawiódł zaufanie żyranta (Matuszewskiego).

W odpowiedzi na ten zawód pojawiły się na łamach Gazety Polskiej artykuły, zawierające krytykę polityki gospodarczej rządu (G. P. z dn. 11. IV. br., art. p. t. „Pięć miesięcy deflacji“, oraz „Przepisy dewizowe“ z dn. 9. V.), oraz na łamach „Polityki gospodarczej“ (art. wstępny w nr. z 25. IV. br.), a więc w piśmie, które opiera się o redaktora „Gazety Polskiej“. Ton krytyki był ostry i stanowczy.

Dałem ten obszerny wywód, aby naświetlić lepiej stosunek M. do przepisów dewizowych. Nie wchodząc już w to, o czem świadczy opisana wyżej zmiana stanowiska redaktora G. P., wracam do ograniczeń dewizowych. Płk. Matuszewski, występując przeciw zarządzeniom dewizowym, które nazwał zasłoną, rozciągniętą między gospodarstwem światowem a Polską, w następujący sposób motywuje swoje stanowisko. Powiada, że swoboda obrotów kapitałowych z zagranicą spełnia b. doniosłą rolę w gospodarstwie każdego narodu, albowiem stanowi nieustanną kontrolę gospodarki wewnętrznej i to kontrolę o dość czułych aparatach. Przy swobodzie ruchu kapitałów, zdaniem Matuszewskiego, każdy błąd, a zwłaszcza błąd tolerowany na dłuższą metę w gospodarce wewnętrznej, wywołuje bardzo niepożądane objawy w skarbcu Banku Emisyjnego, co zmusza rządzących do odwrotu z błędnej drogi. Swoboda zatem obrotów kapitałowych z zagranicą daje społeczeństwu możność kontroli poczynań gospodarczych rządu. Z chwilą gdy taka swoboda przestaje działać, pozbawia się społeczeństwo wspomnianych środków kontroli. I to jest zasadniczy oraz jedyny zarzut, zarzut b. ciężki, jaki postawił Matuszewski zarządzeniom dewizowym. Czy jest to zarzut słuszny? Czy istotnie swoboda obrotów kapitałami z zagranicą odgrywa tak olbrzymią rolę w życiu gospodarczem Polski? Tak. Odgrywa wielką rolę, ale zgoła z innej przyczyny, (jak postaram się to wykazać), niż sądzi, względnie głosi płk. Matuszewski. Swobodny ruch kapitałów między Polską a zagranicą pozwala na dowolny i nieograniczony wywóz kapitałów z Polski pod rozmaitemi postaciami. I oto dochodzimy do niesamowitego curiosum w stosunkach gospodarczych Polski, polegającego na tem, że Polska jako kraj eksploatowany przez zagranicę, a w szczególności przez kapitał zagraniczny, utrzymywała przez długie lata swobodę obrotu kapitałowego z zagranicą, otwierając na oścież bramę do wywozu kapitałów z Polski. Ażeby uwagi moje nie były bezpodstawne, postaram się je udowodnić. Według M. R. Statystycznego (1935) zadłużenie Polski wobec zagranicy wynosiło w r. 1933 osiem miljardów złotych. Zobowiązania te obejmują długi państwa i wkłady obcokrajowców w przedsiębiorstwach polskich (por. W. Krzyżanowski, Inflacja długów w Polsce, Przegl. Wsp. nr. 3, 1936). Licząc ostrożnie, obsługa wspomnianych długów wynosi około 800 miljonów złotych rocznie. Nie należy przytem zapominać, że gdy chodzi o obciążenia przedsiębiorstw w Polsce, to w niemałym procencie są to obciążenia fikcyjne, robione po to, aby pod ich osłoną wzmóc siłę i tempo eksploatacji Polski przez kapitał zagraniczny. Tak wyglądają na jednym zaledwie odcinku faktyczne obroty kapitałowe Polski z zagranicą. Na tem tle wolność obrotów kapitałowych jest niczem innem jak stwarzaniem dogodnych warunków dla eksploatacji kapitałowej Polski przez zagranicę. Cóż zresztą dziwić się obcym. Gdyby tak zajrzeć do piwnic niektórych zwłaszcza zachodnio-europejskich banków, dostrzegłoby się, jakie sumy zostały wywiezione za granicę przez samych Polaków.

Tak więc z punktu widzenia najżywotniejszych interesów gospodarstwa narodowego Polski wprowadzenie ograniczeń dewizowych było koniecznością. Stwierdzając powyższe, pomijam już ten fakt, że niema żadnych wystarczających racyj, aby Polska trzymała się zasady swobodnego ruchu kapitałów, gdy zerwały z nią te państwa, które w znacznie wyższym stopniu niż my mogłyby sobie na to pozwolić. Pomijam również i to, że jest rzeczą ze wszech miar niewskazaną, aby, zwłaszcza Polska, pozwalała sobie na tak daleko idące uzależnianie naszej polityki i sytuacji finansowej oraz gospodarczej od temperatury, jaka w danej chwili panuje na rynkach światowych. W końcu trzeba w ogólności uważać za wątpliwą możliwość utrzymania na dłuższą metę swobody ruchu kapitałów, gdy niema swobody ruchu towarów.

Poza omówionemi już sprawami jeszcze jeden moment zasługuje na uwagę. W handlu światowym Polska odgrywa rolę minimalną. Ale nietylko o to chodzi, że w handlu światowym nasza pozycja jest znikoma. Ważniejszym może jeszcze jest fakt, że nie dysponujemy towarem, którym wyróżnialibyśmy się na rynkach światowych i spowodu którego bylibyśmy poszukiwani na tych rynkach. A jeśli dysponujemy, to w tak małych ilościach, że jest to bez większego znaczenia dla naszych stosunków gospodarczych z zagranicą. Zjawisko to powoduje, że niema wypadku, w którym Polska mogłaby ustalić ceny światowe, a co za tem idzie, ciągnąć stąd dobre zyski. Zawsze musimy się dobijać pozycji na rynkach światowych przez daleko idące obniżanie ceny eksportowej (dumping), albo inne formy popierania eksportu (zwrot ceł itp.). Wywozimy w ten sposób szereg towarów jak węgiel, drzewo, cukier, produkty naftowe i inne. Tego rodzaju polityka odbija się fatalnie na cenach wewnętrznych, powoduje spadek konsumcji wewnętrznej, a zatem

w swej istocie jest nawskroś szkodliwa dla gospodarstwa narodowego.

Dlaczegóż więc wywozimy w tak niekorzystnych warunkach? Podobno jedną z przyczyn tak nierentownego wywozu jest konieczność zdobycia za wszelką cenę pewnej ilości dewiz, oraz wyzyskanie chociażby pozornych i doraźnych zysków. Czy swoboda wywozu kapitałów z Polski, jak również nieograniczona możność „manipulowania“ wszelkiemi walorami w kraju między innemi nie powoduje pośrednio tego, że prowadzimy tak niewskazaną z punktu widzenia całości gospodarstwa politykę eksportową? Jasnem bowiem jest, że chcąc w obecnych warunkach finansowych i kapitałowych Polski uzyskać przy swobodzie ruchu kapitałów potrzebne dewizy, trzeba za wszelką cenę wywozić, w przeciwnym bowiem razie grozi odpływ złota z Banku Polskiego, który w obowiązującym u nas systemie walutowym jest niebezpieczny dla stałości pieniądza.

Według mego zatem przekonania zarządzeń dewizowych domagała się twarda rzeczywistość gospodarcza Polski, bez względu na to, czy są one zgodne z temi lub innemi zasadami ekonomicznemi. I jeśli znajdują się autorowie, którzy kruszą kopję w ich obronie i piszą w tym celu artykuły, to te rozprawy mogą być interesujące, ale jedynie z punktu widzenia historji doktryn ekonomicznych. Gdy chodzi zaś o stawianie zarzutów przepisom dewizowym, to postawiłbym dwa zarzuty: 1) że zostały tak późno wprowadzone, gdy wywieziono już z Polski taką moc kapitałów, 2) że są zbyt liberalne, że zapory jakie stawiają nieograniczonym możliwościom eksploatacji Polski, nie są szczelne.

Matuszewski podnosząc zarzuty przeciw zarządzeniom dewizowym, pisze, że traktuje sprawę ogólnie i nie wchodzi w przyczyny omawianego posunięcia rządu, gdyż „nie chce pogłębiać trudności przez takie czy inne przewidywania“. Tłumaczenie to jest zupełnie zbyteczne, gdyż rzuca ujemne światło na stanowisko i sposób stawiania sprawy przez autora. Jeśli bowiem autor postawił tak ciężki zarzut zarządzeniom dewizowym, jak ten, że ich wprowadzenie odbiera społeczeństwu możność kontroli posunięć gospodarczych rządu, to automatycznie sugeruje społeczeństwu, że zanosi się na jakieś dziwne eksperymenty walutowe w Polsce, skoro aż takie wydaje się zarządzenia. Czy można bardziej powiększać chaos? Myślę, że nie.

ALOJZY TARG.

# Odwrotna strona medalu.

(W sprawie upłynnienia obciążeń gospodarstw rolnych).

Ponieważ p. Jerzy Zakrzewski w artykule swym „O upłynnienie obciążeń gospodarstw rolnych“ wydrukowanym w ostatnim numerze „Kuźnicy“ poruszył zagadnienie nowe mogące mieć w najbliższej przyszłości dla Polski naprawdę wielkie znaczenie, pragnę w sprawie przez niego poruszonej dorzucić od siebie kilka uwag.

Postulaty i tezy p. Zakrzewskiego można streścić krótko w następujących punktach:

1. Cele naszej gospodarki rolnej muszą być jaknajprędzej określone wyraźnie. Przytem cele te winny wynikać ze struktury społecznej i gospodarczej wsi oraz z ogólnych stosunków ekonomicznych kraju.
2. Nędza wsi i niski poziom kulturalny drobnego rolnika nie jest bynajmniej tylko wynikiem przeżywanego obecnie kryzysu.
3. Państwo nasze nie może nadal operować półśrodkami i odkładać decyzję radykalnych rozwiązań.
4. Najważniejszym postulatem, mającym prowadzić do uzdrowienia gospodarki, jest konieczność znacznego rozszerzenia kredytów dla rolnictwa.
5. Kredyt winno rolnictwo znaleźć bez nowej inflacji, przez upłynnienie części majątku w drodze zastawu hipotecznego, którego idealną formą byłby banknot hipoteczny.
6. Dokoła nas wre ogromna twórcza praca naszych zawistnych sąsiadów, odwiecznych wrogów naszego niepodległego bytu państwowego. Przez nasz wzmożony wysiłek musimy się skutkom tej pracy przeciwstawić.
7. Opanowanie nabytych nałogów i uprzedzeń będzie wielkim krokiem naprzód do znalezienia właściwego kierunku myśli i działań.

Myślą przewodnią artykułu jest konieczność szybkiego postawienia rolnictwa polskiego na nogi przez udzielenie mu kredytu w formie specjalnych, w tym celu wydanych banknotów. Kredyt taki mógłby otrzymać rolnik pod zastaw swych gruntów. Na dowód celowości swych żądań, autor podnosi fakt, że przed wojną obszarnicy w byłym zaborze pruskim często sprzedawali swe grunty państwu i pozostawiali na nich nadal jako dzierżawcy. Mogli oni w ten sposób upłynnić nieruchomą wartość swych gruntów, a za uzyskaną ze sprzedaży gotówkę uintenzywnić swój warsztat rolny.

W Polsce odrodzonej widzi autor dla rolnictwa zasadniczy cel — to podniesienie wydajności ziemi przez oryginalnie pomyślany kredyt i zwiększenie środka obiegowego.

Co do konieczności zwiększenia wydajności gruntów uprawnych w Polsce, zgadzamy się z autorem w zupełności. Polska „B", jeżeli zapożyczymy określeń od ministra Kwiatkowskiego, musi i to wkrótce stanąć na poziomie produkcji conajmniej Polski „A". Widmo nędzy powinno corychlej zniknąć z chaty wieśniaczej. Przednówek musi przestać być w Polsce coroczną próbą głodową dla gospodarza, jego rodziny, nieodłącznego konia i jednej krowy, na sześciu i więcej hektarach Polski „B".

Wobec wyścigu zbrojeń naszych sąsiadów, Polska powinna dopiąć w najbliższych dziesiątkach w gospodarce rolnej jednego a to musi być zasadą naszych państwowych wysiłków, że czy wróg w przyszłości uderzy ze wschodu czy też z zachodu, część państwa niezagrożonego ogniem walki musi wyżywić i armję i naród. Dzisiaj tego przynajmniej w odniesieniu do Polski „B" nie moglibyśmy powiedzieć.

Dlatego zadaniem Polski jest obecnie postawić wieś na gruncie dobrobytu.

Jest warunkiem niewzruszonym i słusznie przez autora wysuwanym, że poprawa w gospodarstwie rolnem u nas może nastąpić przedewszystkiem przez wyzbycie się nałogów i przywar narodowych polskich, choćby nie wiedzieć jakim czynnikom zależało na tem, aby w Polsce to, co było niegdyś albo jest i dzisiaj, pozostało nadal.

Musimy się wyzbyć „dziadostwa" jak to nazywa p. Zakrzewski. W tem pojęciu można pomieścić wszelkie nasze przywary narodowe, które niewątpliwie muszą ulec, radykalnemu wyplenieniu. Musimy rozwinąć zmysł daleko idącej oszczędności, a wykorzenić naszą rozrzutność, chęć łatwego wzbogacenia się i niezdolność rozróżniania cudzej od własnej rzeczy. Musimy się wyzbyć lenistwa i nieróbstwa, a zaszczepić w lud wiejski hasło, że praca narody wzbogaca. Polak pracujący dobrze tylko na obczyźnie musi przejść do historji Polski. Analfabetyzm, ciemnota, zacofanie, średniowieczny tradycjonalizm gospodarczy powinny również zniknąć.

Polak może dzisiaj posiadać dużo zalet, dużo talentu, może być usposobienia gościnnego, towarzyskiego, patrjotycznego, czy religijnego ale nie widzi się w nim jednego, co musi być rozwinięte zwłaszcza wśród naszej młodzieży doby dzisiejszej — to podejścia gospodarczego do roli, pracy i wogóle do życia.

Toteż nie mógłbym zbyt pochopnie przejść z autorem artykułu na rozwiązanie problemu przez udzielenie rolnictwu szeroko zakreślonego kredytu w takiej czy innej formie. Nie przeczę, że forma kredytu proponowana przez p. Zakrzewskiego może odegrać kiedyś w Polsce dużą rolę. Uważam jednak, że wszystko należy robić po porządku.

Duża większość gospodarstw rolnych jest martwa dla stosunków gospodarczych w Państwie. Czy udzielenie znacznego kredytu gospodarstwu, które nie umie należycie n. p. zorganizować zbytu swych produktów, nie byłoby tem, czem jest dla umarłego kadzidło?.

Owszem. Jest powiedzenie ludowe, że kiedy „dać dziadowi kawał szperki to nią sobie nawet kij posmaruje". Naszemu rolnikowi przydałaby się pożyczka niewątpliwie.

Cobyśmy przez to zyskali? — Dochody monopolów państwowych wzrosłyby niewątpliwie, córki i synowie rolników żeniliby się przy hucznem jak nigdy weselu, ale potem nastałoby szare codzienne życie na roli.

Historja Polski świadczy, że szlachta polska, która niegdyś była prawie wyłącznie czynnikiem decydującym o losach Polski, tak długo się jako tako trzymała, dopóki nie zetknęła się z kredytem. Odtąd zaczęła się jej tragedja moralna i gospodarcza. Czasy to odległe, ale stosunki gospodarcze u nas niewielkiej uległy zmianie.

Nie mamy pieniędzy a więzienie nasze tylko amnestja ratuje od przepełnienia. Gdziebyśmy zamykali naszych przestępców, gdyby ilość pieniędzy w Państwie choćby podwoić? Przecież u nas się kradnie, oszukuje i zabija nietylko z biedy.

Nie możemy sklecić słabo prosperującej spółdzielczości rolniczej, którą rolnik może oprzeć przecież na własnych środkach. Brak nam do tego solidności i jeszcze raz podejścia gospodarczego do rzeczy.

Cóżby się stało gdyby wygarnąć na rynek rolniczy kredyty prawie w dowolnej ilości? Czyby się to nie skończyło rychłą plajtą banku emitującego proponowane przez p. Zakrzewskiego banknoty hipoteczne?

Doświadczenie ostatnich lat uczy, że rolnik chętnie sięga po kredyt. Jednak rolnik nasz, im łatwiej kredyt otrzymuje, tem mniej celowo go zużywa. Gdyby więc taki dłużnik zamiast użyć łatwo otrzymany kredyt na cele produkcyjne, wykorzystał go na konsumcję, czy przy nadmiernie licznych licytacjach zadłużonych gospodarstw nie byliśmy znowu świadkami tego, co się działo u nas w 1930 — 31 roku, że gospodarstwa rolne sprzedawano na licytacjach za 1 zł (jeden złoty)?! Jak wyglądałby wówczas bank udzielający tych pożyczek?

Dla Polski nie jest dziś bynajmniej nieszczęściem, że nie mamy rozwiniętego kredytu rolniczego. Natomiast jest wielkiem naszem nieszczęściem, że nigdy nie wiemy napewno, czy udzielany kredyt trafi we właściwe i uczciwe ręce. Rzecz jasna, że mam tu na myśli głównie Polskę „B", która stanowi większość terenu państwa. Tam kredyt rolniczy proponowany przez p. Zakrzewskiego byłby jak skarb na pustyni. Lecz niechaj nas z zachodnich ziem Polski nie napawa to zbyt wielką dumą!

Z tych względów wydaje mi się, że naprawę naszych stosunków rolnych powinniśmy zacząć od oświaty, oświaty i jeszcze raz oświaty. Lecz nie oświaty o świecie i mądrych uczonych referatów, lecz przymusowego dokształcania w zakresie rolnictwa w wiejskich szkołach powszechnych potrzeba wsi polskiej.

Potrzeba ta wynika ze struktury społecznej i gospodarczej wsi, co jest zgodne z tezami p. Zakrzewskiego, jak również to, że zaspokojenie jej byłoby celem podstawowym i rozwiązaniem radykalnem o skutkach na całe przyszłe wieki. Postawiłoby ono całą Polskę mocno na nogi i pozwoliłoby wykończyć naprawę ustroju rolnego, wykorzystać nieużytki i zlikwidować bezrobocie.

Jeszcze jedno Autor nie wziął pod uwagę starej kopernikowskiej zasady, że zły pieniądz wypiera dobry. Po wprowadzeniu banknotu hipotecznego mielibyśmy obok złotego drugi rodzaj środka obiegowego, to znaczy pieniądza. Któryś z nich musiałby być gorszy i wyparłby w myśl wypróbowanej maksymy z obiegu pieniądz lepszy, który schowałby się do szuflad i pończoch.

A druga uwaga — pieniądz hipoteczny nie dałby się zastosować w całej Polsce, gdyż były zabór rosyjski nie posiada przymusu prowadzenia ksiąg hipotecznych dla gruntów wiejskich i wpierw przez wiele lat trzebaby regulować hipoteki na terenie całego szeregu województw.

LUDWIK KOHUTEK.

# Myśli przewodnie zagranicznej polityki Polski.

O tem, jakie są myśli przewodnie zagranicznej polityki Polski, pisał nie będę, lecz o tem, jakie być powinny.

Polityka zagraniczna należy do dyplomacji, a dyplomacja jest sztuką. Sztuce dyplomatycznej niektóre Państwa mają wiele do zawdzięczenia. Tak np. dzięki świetnej dyplomacji Austrja z małej marchji wschodniej rozrosła się w ciągu wieków w wielkie państwo.

Historja powszechna uczy nas jednak, że są pewne zasady, których rozumna dyplomacja każdego Państwa trzymać się musi. Taka np. jest zasada znana już starożytnym Rzymianiom, że przyjaciółmi naszymi są sąsiedzi sąsiadów naszych.

Tej zasady w swojej dyplomacji trzymała się z reguły Francja. Mając od wschodu wrogiego sąsiada — Niemcy — łączyła się zawsze przeciw nim przymierzem z ich sąsiadami.

I tak kiedy na widowni dziejowej na południowym wschodzie Europy ukazała się potężna Turcja i sięgnęła aż po granice Rzeszy Niemieckiej, to z nią zawiera sojusz Francja i nakłania ją do wojny z Niemcami. Wszak w wieku XVI ku oburzeniu ówczesnego świata chrześcijańskiego flota turecka z flotą francuską walczyły wspólnie przeciw Niemcom na morzu Śródziemnem. Była to wojna króla francuskiego Franciszka I z cesarzem Karolem V. A w wieku XVII królowi francuskiemu Ludwikowi XIV ta okoliczność, że nosił tytuł króla arcychrześcijańskiego i że w Państwie swojem zakazał wyznawać inną religję jak katolicką (zniesienie edyktu nantejskiego) nie przeszkodziła do sprowadzenia Turków pod Wiedeń dla zniszczenia państwa niemieckiego, co możeby i nastąpiło, gdyby nie odsiecz wiedeńska króla polskiego, Jana Sobieskiego.

W okresie wojny 30-to letniej Francja znajduje znów sprzymierzeńca przeciw Niemcom w ich sąsiedzie od północy, tj. w Szwecji, a potem szuka go na wschodzie w Polsce i znajduje wreszcie, ale już po upadku Polski w Rosji, gdy Rosja stała się bezpośrednim sąsiadem jej sąsiada, tj. sąsiadem Niemiec.

Polska dzisiejsza w myśl wyżej przedstawionej zasady jest naturalnym sprzymierzeńcem Francji. Ta okoliczność, że Francja sięgnęła dalej na wschód i zawarła przymierze także z Rosją, może wyjść tylko na korzyść Polski. Dlaczego?

Otóż dlatego, że naturalnym sprzymierzeńcem Niemiec przeciw Polsce była zawsze Rosja, jako sąsiad ich sąsiada. Sojusz Niemiec z Rosją sprowadził w wieku XVI na Polskę długoletnie wojny z Rosją, a wkońcu ten sam sojusz przyniósł nam rozbiory Polski.

Wojna dopiero Niemiec z Rosją przyniosła nam niepodległość, ale przymierze tych dwóch sąsiadów może dla nas być groźne. Wszak układ pomiędzy Niemcami i Rosją został zawarty również po wojnie światowej w roku 1922 w Rapallo. Przeraził nawet państwa koalicji, naskutek czego poczyniły Niemcom znaczne ustępstwa, chcąc odwieść je od Rosji.

Obecnie zaś, skoro Francja zawarła przymierze z Rosją, temsamem odciągnęła Rosję od Niemiec i, co zatem idzie, zmniejszyła niebezpieczeństwo, jakie grozi od zewnątrz Polsce.

Francja wprawdzie działa tylko w własnym interesie, ale ten jej rozumny kierunek polityki zagranicznej pośrednio wychodzi na naszą korzyść.

Prawda, nie traktuje nas Francja jako równego sobie sprzymierzeńca, lecz rzeczą dyplomacji każdego Państwa jest wywalczyć dla niego taką pozycję u sprzymierzeńca, na jaką zasługuje.

Francja wobec niebezpieczeństwa ze strony Niemiec znajduje się w lepszem od nas położeniu: ma za sobą Anglję i Włochy, Rosję i Małą Ententę, czego niema Polska.

Niemcy zaś były i pozostaną w przyszłości niebezpiecznym sąsiadem dla Polski, mimo że bezpośrednim celem polityki Niemiec w obecnej chwili nie jest rewindykacja ziem byłego zaboru pruskiego. Motorem życia dzisiejszych Niemiec jest nacjonalizm, a oparta na nim polityka zagraniczna dążyć musi do zjednoczenia całego narodu niemieckiego w jednem Państwie. W skład Polski nie wchodzi ani jeden skrawek ziemi etnograficznie niemieckiej, ale etnograficznie niemiecką jest przecież cała dzisiejsza Austrja, która przez długie wieki nietylko należała do Rzeszy Niemieckiej, ale stała nawet na jej czele; etnograficznie niemiecką jest część Państwa Czechosłowackiego wzdłuż całej granicy niemiecko-czeskiej; etnograficznie niemiecką jest część Szwarcarji, dalej Księstwo Luksemburg i wreszcie Gdańsk, który jakkolwiek nie jest częścią składową Rzeczypospolitej Polskiej, to jednak jego suwerenność jest ograniczona na korzyść Polski. Zjednoczyć te ziemie w jednem państwie niemieckiem, to nie jest to samo co zabór Alzacji i Lotaryngji względnie części ziem polskich. Inną bowiem wartość mają dla każdego państwa obszary zamieszkałe przez własny naród, a inną zamieszkałe przez ludność obcą i ujarzmioną, z którą trzeba walczyć i ją wynaradawiać, a która nieraz jak dynamit rozsadza państwa od wewnątrz.

Wystarczy „anschluss“ Niemiec z Austrją, aby Rzesza Niemiecka powetowała sobie straty terytorjalne na kontynencie europejskim, zadane jej traktatem wersalskim przez odebranie Alzacji i Lotaryngji i ziem Polski; o ile anschluss się powiedzie, idea zjednoczenia ziem etnograficznie niemieckich postępować może dalej, a gdy zahaczyć będzie chciała o Gdańsk, wejdzie w groźny konflikt z Polską.

Polska starać się musi o modus vivendi z Niemcami, ale przyjaciółmi Polski oni nigdy nie będą i zjednoczeni na wewnętrz i na zewnątrz i dobrze uzbrojeni groźne nam sczasem ukażą oblicze.

Prawda, że każdy naród polegać musi przedewszystkiem na własnych siłach. Zważyć jednak musimy, że liczba mieszkańców w Niemczech jest dwa razy większa niż w Polsce, w dodatku, że u nas co trzeci obywatel nie jest Polakiem, czego niema w Niemczech.

Przedwojenne Niemcy zbyt ufne były w siebie i w swoją armję, a nie doceniały należycie akcji dyplomatycznej Francji, dążącej do osamotnienia Niemiec i do utworzenia przeciwko nim wielkiej koalicji państw świata. Polska na terenie międzynarodowym nie może być osamotniona ani też opierać się na sojuszach wątpliwej wartości. Dla bezpieczeństwa naszego wobec Niemiec przymierze z Francją nie wystarczy. Polska winna wejść także w przymierze z dwoma słowiańskimi sąsiadami, to jest z Rosją i Czechosłowacją. Z Rosją raz dlatego, że jak to słusznie w Nr. 4. „Kuźnicy“ w artykule pt. „Czy alians z Niemcami“, zapodał p. Alojzy Targ — nie mamy z nią spraw spornych, i następnie Rosja, wobec niebezpieczeństwa japońskiego, wojny z Polską nie może pragnąć, a powtóre dlatego, że Francja mimo sojuszu z Rosją jest od niej daleko, więc jeżeli Polska do przymierza francusko-rosyjskiego nie przystąpi, to Rosja spowrotem zawrócić może do traktatu z Niemcami, zawartego już poprzednio w Rapallo, co byłoby dla Polski największem nieszczęściem.

Z Czechosłowacją dzieli nas krzywda, wyrządzona przez grabież Śląska Cieszyńskiego, jednak Czechosłowacja pamiętać o tem musi, że cesarze niemieccy nie rezydowali nigdy w Krakowie, ani w Poznaniu, ale mieli swoją stolicę w Pradze Czeskiej; że w Polsce tylu Niemców nie mieszka, co w Czeechosłowacji; że niebezpieczeństwo ze strony Niemiec zagrażać im będzie większe niż Polsce; że ich siła obronna jest mniejsza od naszej i że Liga Narodów zawodzi. Zatem porozumienie polsko-czechosłowackie leży przedewszystkiem w interesie Czechów, zatem winni oni usunąć te przeszkody, które tamują porozumienie z nami.

Czas wreszcie najwyższy, aby narody słowiańskie doszły wkońcu do porozumienia i zbliżyły się do siebie i współpracowały ze sobą dla wspólnego dobra i bezpieczeństwa. Wszak wołanie o jednoczenie się i sprzymierzanie Słowian wobec niebezpieczeństwa ze strony Niemiec słychać było od samego zarania wieków średnich poprzez wszystkie stulecia. Zbyt wielkie ponieśliśmy straty, i my i Czesi i inni Słowianie, aby jeszcze tego i dziś nie zrozumieć.

A zatem myślą przewodnią zagranicznej polityki Polski być musi przymierze z Francją na zachodzie i porozumienie z Rosją na wschodzie oraz zbliżenie do Czechosłowacji, która tak z Francją jak i z Rosją jest dziś zaprzyjaźniona.

Jeśli w dodatku uporządkujemy stosunki wewnętrzne i oprzemy się o naszą armję, to Rzesza nie będzie dla nas przedstawiała niebezpieczeństwa nawet w wypadku osiągnięcia tego lub większego jeszcze stopnia potęgi, co przed wojną.

WŁADYSŁAW BORTH.

# Nieobecni i obecni.

Nieobecni, głusi i ślepi a syci i zadowoleni, „pleśń społeczna“, oto litanja słów, które się cisną pod pióro, gdy się chce pisać o wielkim odłamie naszej inteligencji. „Nieobecnymi“ nazwał przed kilkudziesięciu laty chorąży pozytywizmu, Świętochowski, szlachtę, która, wpędziwszy kraj w niewolę, usunęła się w zacisze swych prywatnych spraw, nie biorąc czynnego udziału w życiu społecznem i w tworzeniu nowych

jego wartości. Analogiczny zarzut trzeba postawić wielkiej części obecnej naszej inteligencji, która z dużem powodzeniem odgrywa obecnie niechlubną rolę dawnej szlachty.

Na łamach „Kuźnicy" zwracano na to uwagę przy różnych okazjach. Popatrzmy zaś teraz, jak się ten problem przedstawia w życiu społeczno-organizacyjnem na Śląsku. Kto je tworzy, a kto jest nieobecny.

Dynamika życia społeczno-organizacyjnego na Śląsku jest szczególnie duża choćby tylko ze względu na kresowy charakter tej ziemi. Duża ilość organizacyj i ludzi zorganizowanych, wcale bujne życie organizacyj, mimo różnych braków, świadczy o silnie rozwiniętym instynkcie społecznym ludności śląskiej.

Charakterystycznym i jakże dodatnim objawem, to liczny udział elementu robotniczego, rzemieślniczego i drobnomieszczańskiego w pracach społecznych i to w roli przodowniczej. Wiele prac i organizacyj prowadzą górnicy, robotnicy i rzemieślnicy, drobni kupcy i t. d. zwłaszcza w mniejszych miejscowościach. Zresztą same już powstania śląskie to przecież ruchy nawskroś ludowe.

Im silniej jest rozbudowane życie organizacyjne, tem więcej trzeba pracowników, czynnych, twórczych. Jest więc pole do pracy i dla inteligencji.

Nie dla przewodzenia, nie dla ofiarnictwa i poświęcenia się dla ludu, bo lud sam sobie da radę, ale dla współpracy w tworzeniu wspólnych, narodowych, społecznych i państwowych wartości. Oczywiście sama już praca zawodowa, dobrze spełniana jest pracą społeczną, ale w naszem polskiem życiu, gdzie tyle zaległości wiekowych trzeba odrabiać, nie można ograniczać się jedynie do swych zajęć zarobkowo-zawodowych. To jasne, zwłaszcza na ziemi kresowej, gdzie potrzeby są większe niż gdzieindziej.

A tymczasem dobry przykład idący od t. zw. „dołów" nie pociągnął za sobą olbrzymiego odłamu inteligencji. Niewiele inteligenckich pługów wyjechało na szerokie pole polskiej rzeczywistości, choć trzeba masowo na niem orać. O masowym zaś udziale można tu mówić jedynie w odniesieniu do nauczycielstwa.

Nauczycielstwo wszędzie w całej Polsce i w województwie śląskiem, to społecznie najbardziej ofiarny i twórczy element spośród naszej inteligencji. Najbardziej zresztą darzony pochwałami i najbardziej materjalnie upośledzony, zwłaszcza w ostatnich latach. Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że nauczycielstwo bierze bardzo czynny udział w pracach społecznych. Zwłaszcza nauczycielstwo szkół powszechnych, bo gimnazjalne w znacznej większości trzymało się zdala od tych spraw i dopiero w ostatnich latach następuje tu pewna poprawa.

„Młody chłopak" jędrzejewiczowski — nauczyciel gdzieś na wsi jest częstokroć głównym organizatorem życia społecznego, kulturalno-oświatowego i politycznego. Pochwały, uznania władz, liche pobory i awans automatyczny — na dalsze liche pobory, świadomość dobrze spełnionego obowiązku obywatelskiego w połączeniu z gruźlicą (która dziesiątkuje szeregi nauczycieli), to główne nagrody dla nauczyciela w jego doczesnem życiu.

Trzeba przyznać, że na Śląsku dzięki lepszym warunkom szkolnym, lokalowym i t. p. sytuacja nauczyciela jest nieco lepsza niż gdzieindziej, ale też nie jest wesoła.

Z własnej, a czasem niezupełnie własnej woli piastuje nauczyciel szereg stanowisk w wielu zarządach, organizuje uroczystości, zebrania, przedstawienia i wybory. Jeśli ma różnych funkcyj zadużo i próbuje odmówić przyjęcia nowych, wywiera się na niego nacisk nieraz z różnych stron, a opinja gotowa odmowę uważać za ciężki grzech społeczny. „Bo jakże, tam pracuje, a u nas niechce".

A w tej samej miejscowości są inni inteligenci, którzy się wogóle nigdzie „nie udzielają społecznie". Nauczyciel musi być tu i tam. Tylko nie musi być.... reprezentowany w samorządach i ciałach ustawodawczych. To zrobią za niego inni.

Reszta inteligencji jest „nieobecna". Są wypadki, że w pracy organizacyj spotkamy przedstawicieli i innych

*JANINA ZABIERZEWSKA*

## *Zwyciężysz!*

*Kiedy myśl umęczona staje się bezwolna,*
*na brzegu świadomości zanika przyczyna*
*— jak ziarno, które chłonie czarna ziemia orna,*
*jak kamień, który ginie w podwodnych głębinach —*

*Tylko wiesz o tym trudzie, co się próżno trudzi —*
*o przegranej — o nędzy życiowego plonu —*
*o dumie — co się blichtrem fałszowanym łudzi —*
*o klęsce strat codziennych — tragicznych do zgonu —*

*I zdaje ci się nawet, żeś jest opuszczony*
*(żniwo śmierci wyrasta w zielonych mogiłach!)*
*a tyś tylko zmaganiem chwilowo zmęczony —*
*wiadomo — że w dniach ciężkich wycieka z nas siła!*

*Gnębi niezałatwione „co dalej" pytanie —*
*— programy, trud, zawody — wszystko się wraz*
*[miesza.*
*Nim cię nowa idea olśni niekłamanie —*
*— depresja — —*

*Lecz gdy się opamiętasz —*
*[w nowej świata wizji*
*siłę życia i woli do działania sprężysz —*
*Myśl swą twórczą odwrócisz od mogił i krzyży*
*i taką postawą — zwyciężysz!*

zawodów. W niektórych miejscowościach nawet sporo jest takich wypadków. Ale naogół skąpy jest udział tego elementu w codziennej pracy społecznej. Toteż w niektórych działach pracy wyraźnie się odczuwa brak odpowiednich sił. Zato dużo ich siedzi w kawiarniach i przy bridżu. Np. wśród młodzieży pozaszkolnej wiele jednostek interesuje się techniką, a ponieważ nie mają pieniędzy na studja szkolne, przeto albo zdobywają wiadomości z tej dziedziny w sposób samokształceniowy, albo też wogóle swych zainteresowań nie rozwijają i bezczynnie się wałęsają. I grają w karty. Trudno zaś jest znaleźć ludzi fachowców, techników, którzyby przyszli tej młodzieży z pomocą przez wykłady, kursy i t. d. Praca oświatowa nie jest przecież monopolem nauczycieli. Jest zaś szereg wypadków, gdzie nauczyciel szkoły powszechnej, zdobywszy drogą samouctwa wiedzę i umiejętności techniczne, dokształca młodzież w tej dziedzinie i pomaga jej w pracy samokształceniowej.

Ale takich ludzi jest niewielu, zamało wobec istniejących potrzeb. Nauczyciele nie mogą wszystkiem się zajmować, a tylu jest u nas inżynierów, techników! Nieobecni.

Może tu ktoś powie na usprawiedliwienie, że się ich nie wciąga do prac oświatowych wśród młodzieży. Może przyczynia się też do tego mylny a mocno zakorzeniony pogląd, że praca oświatowa ma polegać wyłącznie na ustawicznem prawieniu ludziom elementarnych wiadomości o Polsce i deklamacjach patrjotycznych. Może, ale to wszystko nie może usprawiedliwić dostatecznie faktu nieobecności dużego odłamu inteligencji tam, gdzie jej potrzeba, zwłaszcza na odcinku młodzieżowym, gdzie problem bezrobotnej młodzieży jest tak ważny, nawet groźny, a potrzeby racjonalnej nad nią opieki i pomocy dla niej są tak palące.

Przytoczonego wyżej przykładu nieobecności nie można ograniczać do jednego tylko zawodu i jednej dziedziny. Jest to objaw ogólno inteligencki. Brak tej warstwy wogóle w pracach społecznych, brak w walce o przebudowę społeczną. Szczególnie wobec tych zagadnień cechuje inteligencję zupełna obojętność. Zainteresowania dla tych spraw w najlepszym razie objawiają się... w kawiarni i na niej się kończą. Ciekawe jest, że ci nieobecni to w zasadzie ludzie majętni, siedzący na dobrych posadach, syci, zadowoleni.

„Trzeba zacząć surowe życie“. Oto rzucony nakaz chwili. Ale nie od nich. Równanie w dół, to też nakaz dla dołów ale nie dla „góry“. Bo tych ludzi

# Karaluchy.

Poprzez otwarte narozcież drzwi kawiarni buchał na ulicę zgiełk kwilącej orkiestry, szmer wiecznie gadających ludzi i brzęk obnoszonych po stolikach naczyń.

Tu nie znać było biedy, bezrobocia i nędzy — wyniosły się one w inne strony miasta.

W kłębach gęstego dymu tytoniowego i oparach mniej lub więcej wydekoltowanych ciał siedzieli leniwie państwo, na oko srogie, nieprzystępne, władne i możne. Kobiety różnorakiego kalibru, o twarzach różowo tynkowanych, jedne o kształtach obfitych i pękatych, inne wiotkie i ruchliwe, kiejby frygi.

Panowie wygoleni do skóry, zastygli w bezruchu, niby muchy w miodzie wlepieni w koślawe fotele. U starszych brzuchy przepasane złotemi dewizkami, głowy młodych osadzone na nieskazitelnych kołnierzykach, wypomadowane brylantyną, świeciły dziewiczemi przedziałkami i masełkowatym błyszczem na tle koloru jajecznicy, który przeważał wśród główek słabej połowy rodzaju ludzkiego.

Wysoki mężczyzna, który właśnie wszedł z książką w ręku, zdjął palto, pogardliwie rozejrzał się po sali, lekko skłonił głową w stronę jednego stolika i skierował swe kroki w poszukiwaniu miejsca.

Wymijając krzesła, nakrycia i ludzi, potrącił wystawioną na chodnik nogę, która objętością dorównywała nóżce młodego słonia, aczkolwiek na paluszki jej nabito filigranowy pantofelek.

Wypukła jejmość żachnęła się, przytknęła machinalnie pincenez i wycedziła:

— Ordynus!...

* * *

— Jak się masz, socjale — zagadnął Porębę Dąbrowski, siedzący opodal, i ruchem ręki poprosił do siebie.

Poręba, choć niechętnie, przywitał się i usiadł.

— Coś ponury mi się wydajesz — nawiązał rozmowę Dąbrowski. Możebyś miał ochotę jutro przejechać się autem do Wisły, jadę z moim wujem i kilkoma paniami.

— Nie mam czasu — zbył go krótko Poręba.

Znali się oddawna, razem kiedyś studjowali. Dąbrowski, choć do przesady elegancki, o powierzchowności prosto z igły, setny kompan do kieliszka nie potrafił jednak u Poręby wzbudzić do siebie nabożeństwa.

Poręba zrazu lubił go, myśląc a nuż jeszcze z niego będą ludzie — może skończy kiedyś z blagą i zajmie się czemś porządnem. Wszystkie jednak próby, jakie podejmował, nie dały rezultatu. Wychuchany w domu i zmanierowany łatwem życiem, nigdy niczem solidnie się nie zajmował, — stroił się w cudze piórka, sam niewiele mając w głowie.

Dzięki kilku krewnym na wysokich stanowiskach w ciężkim przemyśle wspinał się w zawrotnem tem-

niewiele obchodzą sprawy społeczne. Z biernością łączy się w nich nieznajomość polskiej rzeczywistości (pisał o tem p. Musioł w ostatnim numerze Kuźnicy w „Przekrojach"). Widocznie w takiem wygodnem życiu znajomość rzeczywistości, a co gorsza zbliżenie się do niej, psuje zadowolenie. I dobry apetyt.

Nie należy dopuścić do wytworzenia się kasty inteligenckiej, odciętej od reszty, od większości społeczeństwa. Nie' należy dla naszej racji stanu. Nieobecni winni się zjawić. Winni wyjść z kawiarń i pięknych mieszkań do świetlic, do organizacyj społecznych, do ruchów społecznych. Niechże przyjrzą się na początek uważnie naszej rzeczywistości z okien swych pięknie urządzonych mieszkań. Niechże nie będą pleśnią społeczną, którą zetrze surowa konsekwencja życia. Bo nieobecność teraz w okresie przełomu, w ogniu zachodzących przemian, można przepłacić likwidacją. CZESŁAW DROZDOWSKI.

# Po sezonie Teatru Polskiego w Katowicach.

Nigdy nie spodziewałem się, że będę miał możność pisać o teatrze. Wprawdzie teatr jest mi zjawiskiem specjalnie drogiem i jestem z nim związany wieloma węzłami uczuciowemi i wieloma niezapomnianemi przeżyciami, ale rolę „grałem" w nim niezmiennie jedną — rolę żelaznego widza, przytem najczęściej widza z galerji. Tacy rzadko pisują recenzje. Recenzja to monopol panów z trzeciego lub piątego rzędu foteli. Przez dłuższy czas czytywałem pilnie ich „utwory", jak prostaczek, przyjmujący do wierzenia wiedzę wtajemniczonych. Aż wreszcie przyszedł moment, zachodzący w życiu każdej istoty myślącej, gdy stało się dla mnie jasnem, że wszelka wiedza wtajemniczonych jest legendą, pilnie pielęgnowaną przez grupy, pragnące — mówiąc najogólniej — panować nad innymi. Wówczas (wracając do tematu) znaczenie recenzji teatralnej runęło w moich oczach w gruzy. Bez trudu dostrzegłem okiem trzeźwego człowieka kwestję zawodu — mówiąc dobitniej — kwestję profesjonalizmu w tej dziedzinie. Przecież panowie z piątego rzędu foteli piszą te recenzje zawodowo, przecież dokoła teatru, jako m. in.

---

pie po drabinie hierarchji plutokratycznej. Dopiero rok upłynął, gdy z walizeczką w ręku szedł wyasfaltowaną, czystą choć zadymioną ulicą stolicy ziemi „brzóz i kominów". Miał wówczas minę wystraszonego dziecka, — znalazł się bowiem na obcym gruncie, niepewny swych sił i przyszłości.

Wewnętrzną rozterkę nadrabiał jednak pańskim i nonszalanckim sposobem zachowania się, bo przecież wujek, a również inni pociotkowie coś pomogą i nie dadzą krewniakowi zginąć w tem mrowisku.

— Przecież pozwolą mi chyba uszczknąć cośkolwiek z tego drzewa obfitości, myślał, oddając portjerowi swą walizkę przy wejściu do hotelu.

Dziś stał on już na nogach. Wielki z niego zrobił się pan.

Wyczuwał jednak, że Porębie nie potrafi niczem zaimponować, że ten stroni od niego — nie zdawał sobie tylko sprawy, z jakiego powodu. Poprawił więc swój nieskazitelnie zawiązany krawat, poczęstował papierosem, z gracją zapalił i zaczął:

— Stara Poro, nie bądźże taki uroczysty i powiedzno coś mądrego... Widzę, że ciągle się z książkami nosisz, aż wkońcu zwarjujesz, a ja nie chciałbym sobie psuć humoru, odwiedzając cię w Kulparkowie lub innym jakimś czcigodnym ansztalcie.

— A cóż tam porabia Ździch — pytał dalej — jakoś się nie pokazuje, widziałem go kiedyś na ulicy z niczegowatą dziewczynką.

— Anim mu brat, ani swat, jak wiesz, prędzej wybyście do siebie pasowali...

— Zresztą wiesz, do południa siedzi w biurze, popołudniu kawiarnia, bridge, kobiety, gorzołka — ot i wszystko... A jak gada, to wiadomo zgóry o czem, zawsze to samo — o wujkach bogatych i stryjkach, o totalizatorze, o dobrym obiedzie, gdzie i kiedy zjadł, a czytać, to czyta chyba tylko herbarz — coś à la Dąbrowski tu obecny, uśmiechnął się.

— No nie jest tak źle, staruchu, nie wycieraj sobie znów zanadto gęby, uważam siebie za trochę innego.

— Nie wiem, pod jakim względem, chyba pod tym, że ty świecisz każdemu w oczy tylko sygnetem i trzymasz „wymanikirzoną" rączkę zawsze w pozycji, z którejby sygnet najlepiej był widoczny — on natomiast przy lada okazji jeszcze o kasztelanie wspomina, co to guziki nosił każdy wartości dobrze zagospodarowanej wsi.

— Przesadzasz, mój kochany, powiedz mi zresztą, czemuż tak psioczysz na to szlachectwo, czemu jak sól w oku tkwią ci ciągle w łepetynie wujki i inne krewniaki, chyba dlatego, że pierwszem szczycić się nie możesz, a o protekcję też ci drudno.

— Ani szlachectwa nie pragnę, ani potęgi nie szukam, wystarczy mi kawałek chleba, jaki pracą zdobywam, a ludzi oceniam według wartości, a nie pochodzenia. Nazwisko może pachnąć nie wiem jaką stęchlizną herbarską, a właściciel jego być szują skończonym i bezużytecznym dla społeczeństwa trutniem...

aparatu pracowniczego, powstaje cały szereg zagadnień natury personalnej, przecież w grę wchodzą kwestje tej czy innej karjery, kwestje takich czy innych stosunków nawet politycznych — choć zdawałoby się, że w teatrze jest najmniej miejsca na tę dziedzinę. Nie pisze się więc o tem, co się widzi, lecz pisze się to, co wypada napisać recenzentowi ze względu na jego stosunki zawodowe. Gdy się pozna bliżej stosunki, zachodzące w pewnym „kompleksie teatralnym", można bez większego trudu przewidzieć recenzje poszczególnych krytyków (o istnieniu i znaczeniu wyjątków nie trzeba mi tłumaczyć).

Dzisiaj sam mam pisać o ubiegłym sezonie Teatru Polskiego. Zaproponował mi to redaktor „Kuźnicy", wiedząc, że nie opuściłem w tym sezonie bodajże ani jednej sztuki. Muszę odrazu z przykrością zaznaczyć, że ta „frekwencja" z mojej strony nie wypływała z zachwytu dla Teatru Polskiego. Uczęszczałem poprostu nałogowo (ostatecznie ludzie mają różne nałogi). Moja recenzja wolna będzie od serwitutów zawodowego recenzenta.

Przesunęło się przed naszemi oczyma w ubiegłym sezonie ze 20 sztuk, wystawianych przez zespół Teatru Polskiego na przeszło dwustu przedstawieniach i mieliśmy kilkanaście rozmaitych spektakli gościnnych: opery, chór Dana, Ordonkę, zespół Reduty. Obchodzą nas przedewszystkiem przedstawienia naszego zespołu. Powtórzę to, co już napisałem kiedyindziej w „Kuźnicy" („Wrażenia konsumenta"): może się kierownictwo teatru odwołać do wielkich nazwisk, widniejących na afiszu: Fredro, Mickiewicz, Wyspiański, Żeromski, a z obcych Moljer czy Schiller, ale to nie wystarcza, w tem miejscu dopiero można rozpocząć rozważania.

Czy te nazwiska istotnie dominowały w naszym teatrze? Czy one nadały mu oblicze? Czy przypadkiem nie królował tam: Benatzky, Schurek czy Bus-Fekete? „Muzyka na ulicy", „Trafika pani generałowej", „Rozkoszna dziewczyna", „Moja siostra i ja" — oto trzon zeszłorocznego repertuaru. Nietylko dlatego, że te komedyjki osiągnęły największa ilość przedstawień. Tu możnaby winę przerzucić lekko na „dzisiejszą" publiczność. Chodzi o wykonanie, a to rzecz daleko ważniejsza. Te komedje były wystawione lepiej, niż sztuki z t. zw. wielkiego repertuaru (nie chcę w tem miejscu wszczynać dyskusji co do samego pojęcia wielkiego repertuaru i przynależności pewnych sztuk do niego). Wystawienie tych komedyj nie wykazywało specjalnie słabych punktów, reżyserja i zespół aktorski osią-

---

— Przecież wielu twoich kolegów hołduje takiej samej zasadzie życia, co my „sygnetowi", choć są z „ludu". Co ty na to?

— Tak jest. Bardziej jeszcze niż przypuszczasz. Ale to wy zaraziliście inteligencję w Polsce takim stylem życia...

Orkiestra silniejszy uderzyła akord i przygłuszyła dalszy potok cierpkich słów

Siedzieli w milczeniu, spoglądając na siebie niechętnie — Dąbrowski stukał sygnetem w krawędź stołu.

Poręba, spokojny jak zawsze, nie zwracał na towarzysza swego uwagi. Lubił palić prosto z mostu, co się komu należało, był człowiekiem zbyt prostolinijnym, żeby coś w bawełnę obwijać. Wartościował ludzi i oceniał — nie cierpiał płazów. Piętnował inteligencję tuzinkową, która, zdobywszy świstek, nazywany dyplomem, osiadła na laurach, spożywała dary Boże i używała życia

— Pójdę już, spieszy mi się, — wyciągnął na pożegnanie rękę.

— Zostań, pójdziemy razem, — powstrzymywał go Dąbrowski.

— Nie mogę, mam nocne ćwiczenia P. W., — odparł, wstając.

— Zawracanie głowy, mało ci jeszcze wojska.

— Idjota! — zakończył Poręba, doprowadzony do ostateczności i wyszedł.

Kierując swe kroki szybko na plac zbiórki, był wzburzony do sedna. Bulgotało i wirowało mu w głowie. Nie rozumiał tej tępej zgrai łbów zakutych, co to, wysiadując całemi wieczorami w tej dusznej atmosferze, nazywa siebie inteligencją.

— Patrjota, psiakrew! — wycedził przez zęby.

— Od wojska się wymigiwać, szlachectwem się szczycić, na familjantach z całej Polski jeździć, o protekcję prosić, pańskie klamki lizać, forsę trwonić i głupotą imponować — oto szlachectwo z urodzenia, a chamstwo myślenia, złościł się Poręba.

Już minął oświetlone ulice i skierował się w dzielnicę górniczą, ciemną i ponurą. Poznał spieszących do kopalni na nocną dniówkę górników. Pozdrawiali się nawzajem starem „szczęść Boże!" i szli szybko, nie oglądając się za siebie.

Chłodny wiatr wieczorny muskał jego spocone czoło i zdawał się szeptać słowa pociechy, gwiazdy migotały kojąco na niebie, lecz on nic nie widział, nic nie czuł, szedł ciężkiemi kroki naprzód, pełen goryczy i nienawiści do Dąbrowskich, Zdzichów, do pań o kształtach pękatych i obfitych i tych wiotkich w biodrach i ruchliwych kiejby frygi, do panów o brzuchach obwieszonych złotemi dewizkami, a przedewszystkiem do głów brylantyną lśniących, które się nazywa przyszłością narodu.

OSWALD BULKA.

gnęły przez ich wystawienie tyle, na ile pozwolili autorzy.

A czy można to samo powiedzieć odnośnie — oczywiście wiele trudniejszego do wystawienia — wielkiego repertuaru?

Najlepiej wypadło „Wesele“ i za to należy się bezsprzecznie pochwała i uznanie. Lecz nie można tego samego powiedzieć o Schillera „Intrydze i miłości“, zaś „Dziady“ były już wybitnie nieudane zarówno w wykonaniu, jak i koncepcji reżyserskiej.

Osobno kilka słów należy się „Turoniowi“, gdyż było to przedstawienie dla Teatru Polskiego charakterystyczne. W pierwszym akcie niezwykle mile zaskakuje kapitalna gra Ostoji-Staszewskiego w roli Szeli. Była to niewątpliwie kreacja najlepszej klasy polskiej. Jednak w tymże samym pierwszym akcie reszta obsady gra znacznie poniżej poprawności, a w niektórych momentach poszczególni aktorzy poprostu nie wiedzą, co z sobą począć, gdzie ustawić się na scenie lub też np. wygłaszają swoje kwestje odwróceni tyłem do widowni wbrew scenarjuszowi. Takie rzeczy są niedopuszczalne. Dalsze akty gaszą nasz częściowy entuzjazm: Szela gra znacznie słabiej i bardzo widocznie powtarza się. Osiągnięcie artystyczne niezadawalające. Pomimo to przedstawienia (tak jak to w naszym teatrze ma miejsce w 90%) zgromadzały komplety publiczności na widowni.

I tutaj z „Turoniem“ łączy się drugie zagadnienie. Dyrektor teatru na „Żywym Dzienniku“, a następnie w wywiadzie prasowym nazwał Teatr Polski teatrem robotniczym. Powiedział kilka słów gorzkich pod adresem płytkiej inteligencji, dla której wprowadza na scenę „Rozkoszne dziewczyny“ i t. p. i podkreślił, że robotnik śląski woli chodzić na „Turonia“. Dotychczas rozumiemy wszystko. Ale dlaczego skoro robotnik (i człowiek pracy — to rozszerzenie podmiotu nie będzie chyba sprzeczne z ujęciem Pana Dyrektora) woli „Turonia“. „Turoń“ jest grany tylko 6 razy? (mniej przedstawień, bo 4 osiągnął tylko „Święty płomień“ Maughama). Czemu człowieka pracy wbrew jego wartościowym upodobaniom prowadzi się na różne komedje muzyczne, które idą po dwadzieścia kilka razy najczęściej zaś przy sali wyprzedanej związkom pracowniczym?

Teatr robotniczy. Chwyt łatwy! Może dać się nim przekonać ten, kto Śląsk zna tylko ze słyszenia i w czyim umyśle ze słowem Śląsk kojarzą się jedyne znane dlań słowa: „kopalnia“, „robotnik“. Ten do każdego zdania o Śląsku może dodać przymiotnik „robotniczy“. Ale to jest mitologja. Czemże Teatr Polski zasłużył sobie na miano teatru robotniczego? Chyba nie wybitnie burżuazyjno-rozrywkowym repertuarem? Że robotnicy chodzą do teatru, to jeszcze nie wszystko. Upoważnić to może jedynie do powiedzenia, że kasa teatru jest „robotnicza“, a nie teatr, a przecież nie o to Panu Dyrektorowi chodziło.

Występy gościnne o bardzo różnolitym charakterze naogół były na dobrym poziomie.

Teatr jednak dramatyczny wysokiej klasy zobaczyliśmy właściwie jeden raz: był to występ zespołu Reduty z Węgierką na czele w „Żołnierzu i bohaterze“ Shawa. Doskonały utwór, świetna reżyserja i gra całego zespołu, a na tem tle wręcz znakomita kreacja Węgierki stworzyły niezapomnianą całość.

Takie oto przedstawienia chcielibyśmy widywać częściej na scenie naszego teatru. I mamy zupełne prawo tego wymagać: warunki finansowe ma teatr dostateczne, komplety na widowni zapewnione. Czegoż potrzeba więcej kierownictwu? Czy możemy wobec tego spodziewać się podniesienia poziomu: lepszych sił aktorskich, reżyserskich i lepszego repertuaru? Zobaczymy to w przyszłym sezonie!

Jeśli chodzi o działalność społeczną teatru nie można nie podnieść z uznaniem przedstawień dla bezrobotnych i przedstawień wyjazdowych na prowincję.

ZBIGNIEW MACIEJEWSKI.

# O krytykach powołanych i niepowołanych.

Czytelnicy „Kuźnicy“ mieli niejednokrotnie sposobność zapoznania się z naszą oceną twórczości Gustawa Morcinka i wiedzą, że sąd nasz był surowy a czasem może i zbyt ostry. Temi cechami odbijał wyraźnie od ocen krytyki śląskiej, znajdując jednak pokrewieństwo w sądach krytyków spoza naszego terenu. Podobnie rzecz miała się i z Adolfem Fierlą. Obrońcy tych pisarzy nie zabierali dotychczas jednak głosu. Sprawa jest dla nas jasna: brakło im argumentów i nie czuli się na siłach przeciwstawić swojego zdania sądowi niezależnemu, nie opierającemu się na żadnym z dotychczas wygłoszonych.

Nie chciałbym zarzutu tego uogólniać, dlatego wskażę wprost, że chodzi tu o pewnego zaprzysiężonego chwalcę, krytyka z „Polski Zachodniej“. Pragnąc przestrzegać jego zasad polemiki, nie wymienię jego nazwiska. Jest to zbyteczne dla tych, którzy mieli sposobność bodaj rzucić okiem na artykuł, zatytułowany „Śląscy pisarze w świetle najnowszej krytyki literackiej“. (Nr. 148, 31. V. 1936).

Otóż krytyk ten milczał długo, powiedziałbym, zbyt długo. Czekał na sposobność, żeby się „odkuć,“ ale tanim kosztem. Aż doczekał się wreszcie: Morcinek otrzymał drugą nagrodę na konkursie I. K. C., Czachowski wydał tom III. „Obrazu współczesnej literatury polskiej“, Forst-Battaglia wydał „Udział twórczości katolickiej w literaturze współczesnej świata“, które to dzieło uprzystępniono wymienio-

nemu krytykowi przez przekład polski, a wkońcu zaczął wychodzić tygodnik „Kultura", w którym p. Mąkolska-Tokarska wydrukowała artykuł „Jak czytać Morcinka?". Krytyk ów skwapliwie skorzystał z pierwszej z wyszczególnionych okoliczności, skrzętnie powybierał pochlebne opinje o Morcinku i Fierli z trzech wspomnianych publikacyj i, dołożywszy do tego parę niepochlebnych epitetów o artykułach publicystów z „Kuźnicy", wziął odwet za wyrządzany mu na naszych łamach despekt w formie potężnego artykułu pod cytowanym już tytułem.

A tytuł ten odgrywa tu tylko rolę naiwnie pomyślanego parawanika dla właściwej tendencji autora.

W skrócie przedstawia się to wszystko tak: posłuchajcie państwo, co pisze o Morcinku Mąkolska-Tokarska, co o nim a o Fierli mówi Czachowski i Battaglia; tymczasem publicyści z „Kuźnicy" ośmielają się sądzić o nich inaczej i surowo, piszą o nich artykuły „nielogiczne", „nieprzemyślane", pozbawione „uczucia dobroci" i „uczucia prostej sprawiedliwości a nawet zwykłej przyzwoitości", sądem nieprzychylnym załatwiają z pisarzami tymi „osobiste porachunki", rzucają inwektywy i t. p. Otóż tamci są to „krytycy bardziej powołani", dlatego należy ich słuchać i wierzyć im na słowo. A ci z „Kuźnicy" są niepowołani, dlatego należy im zamknąć buzie i „Kuźnica" powinna się czemprędzej wystarać o nowych „rzeczników" spraw kulturalnych. (Bardzo żałujemy, że w tym punkcie autor przerwał tok swych myśli).

Przypuszczam, że gdyby ów krytyk swoją polemikę na te tematy z Brożkiem i ze mną oparł na innych podstawach, artykuł jego byłby bardziej interesujący. Powagi nam nie imponują, a tembardziej takie, jakiemi zasłania się publicysta z „Polski Zachodniej". O każdej sprawie pragniemy mieć własne zdanie. Gdyby antagonista nasz zamiast czekać od października na okazję, zechciał przez ten czas uczciwie nad sądem o pisarzach śląskich popracować, byłby nam mógł przynajmniej pewnym wysiłkiem zaimponować a możeby z takim artykułem wogóle nie wystąpił.

Bo na kredyt i na cudzy rachunek polemizować nie można. Co np. wynika z tego, że tak sądzi p. Czachowski albo p. Battaglia, lub że Morcinek dostał nagrodę? Tylko to, że inni mają o nim takie zdanie. A to jest bardzo mało. Dopóki nie przeczytam „Inżyniera Szerudy", nie zabiorę w tej sprawie głosu, choć sukcesu chętnie Morcinkowi pogratuluję. A jeśli już coś przeczytałem, to bardzo niewiele obchodzi mnie to, co inni o tem sądzą, a w każdym razie do niczego mię ten sąd nie zobowiązuje.

Tymczasem polemika krytyka z „Polski Zachodniej" to zabawa w ciuciubabkę: wy sądzicie tak, a oni tak, wobec tego wy nie macie racji.

A teraz pokolei kilka szczegółów. Przeciwnik nasz, chcąc mi koniecznie zarzucić nieprzemyślenie i niekonsekwencję, wykazał, że nie rozumie zwrotu „pisarz popularny" i nie odróżnia go od „pisarza o znaczeniu ogólnopolskiem", t. zn. pisarza, który daje dzieła o wartościach trwałych i powszechnych. Wskazuje to, że gdyby do tego przyszło, nie umiałby określić różnicy między Zarzycką a Dąbrowską (proszę tego zestawienia w odniesieniu do Morcinka nie rozumieć).

A co np. ukrywa nasz krytyk pod enigmatycznym terminem „wartości emocjonalne"? Jeśli to, co przez określenie to normalnie rozumiemy, a więc zdolność głębokiego wzruszenia czytelnika scenami o wysokiem dramatycznem napięciu, walką, w której ścierają się potężne i wspaniałe ideje lub świetnie zarysowane indywidualności, to gdzie tych wartości dopatruje się z twórczości Morcinka? Bo właśnie tam są one niewielkie, rozbazgrane sentymentalizmem, zniweczone prymitywizmem artystycznym i zbyt uproszczone łatwizną.

Jeśli chodzi już o obronę Fierli, to obfituje ona w zbyt wiele lekkomyślnych potknięć, by ją bliżej analizować. Według krytyka z naprzeciwka nie zawiera artykuł Brożka nic nowego. A czy przypadkiem, nie jest godną uwagi nowością dla niego ustalenie nazwiska Kubisza, który w jego enuncjacjach lubi się w Kubiczka przemieniać? Warto przytem nadmienić, że „anonimowy" atak na „niektórych t. zw. krytyków, wywindowanych niepotrzebnie i przedwcześnie na szczyty" a zapominających o potrzebie dalszego kształcenia się, okazał się wcale nie-anonimowym, wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi, wiedzieli o tem sami zainteresowani, czego dowodem omawiany tu artykuł.

I jeszcze jedno: zarzuca się nam tylko negację. Tak, ale konstrukcje w stylu artykułu „Śląscy pisarze w świetle najnowszej krytyki literackiej" wcale nam nie odpowiadają. Są to „konstrukcje" na glinianych nogach chwilowej konjunktury.

Krytyk, o którym była mowa, w artykule swym zarzuca błędy „wybitnemu znawcy współczesnej literatury polskiej" Czachowskiemu, zatem sam jest jeszcze bardziej wybitny — jeśli wobec tego ośmieliłem się napisać to, co powyżej, — bardzo przepraszam.

Był to głos krytyka „niepowołanego" na szpaltach pisma powołanego do mówienia prawdy.

ZDZISŁAW HIEROWSKI.

P. S.

Czytelnikom spragnionym innego światła krytyki literackiej podajemy od ręki kilka adresów: Rocznik Literacki za r. 1933, A. Kopczewska „Książki dla dzieci", K. W. Zawodziński „Liryka" (tamże), i tegoż artykuł recenzyjny w Wiad. Liter. nr. 23, z dnia 24. V. 36 r. Bez tych pozycyj omawiany przegląd jest nietylko niekompletny, ale fałszywy.

# Przeglądy.

## Obrona kraju.

Kraj cały rozbrzmiewa dziś hasłem obrony Polski, rzuconem przez Naczelnego Wodza Generała Rydza Śmigłego. Dzień w dzień gazety przynoszą wiadomości o bardzo pięknych i pocieszających objawach patrjotyzmu i poświęcenia na rzecz obrony Państwa i jego niepodległości. W tej chwili warto przypomnieć sprawę może najważniejszą a to zagadnienie stosunku szerokich mas pracujących wsi i miast do wojska polskiego. Warszawskie „Przemiany" w numerze piątym z dnia 25 maja 1936 r omawiają tę sprawę w obszernym artykule, z którego wyjątek cytujemy:

> Józef Piłsudski, jak nikt inny może, najlepiej zrozumiał ducha dziejów Polski i tak oto pisał: „pojęcie o żołnierzu zostało tak gruntownie wyrzucone z pamięci i myśli polskiej, że nie znam na świecie społeczeństwa, któreby tak cywilnem było jak społeczeństwo polskie".
>
> Naród polski odzwyczaił się od swojego własnego żołnierza i przestał go chcieć. I trzeba było i będzie jeszcze długich lat, by przełamać tę psychikę Polaków, którzy nie umieją, jak żaden inny z narodów, ocenić własnego wojska, własnej narodowej armji, która jeszcze długo w obecnych warunkach współżycia Państwa i narodów ze sobą, będzie stanowić jedyną, rzeczywistą potęgę polityczną niepodległego Państwa. **I na to trzeba, by armja była narodową, by miała szerokie, moralne oparcie i wyrozumienie we wszystkich bez wyjątku warstwach narodu, jako wartość ponad partyjna, ponad polityczna, stojąca na straży całości i niepodległości Państwa Polskiego** w tej części europejskiego kontynentu. Armja ta musi się stać **krwią z krwi narodu i być związaną organicznie z szerokiemi rzeszami polskiego Świata Pracy, polskich chłopów, robotników i inteligentów pracujących, a więc tych warstw najszerszych, które stanowią trzon Państwa i narodu polskiego.** I tak pojęty polski naród pracujący musi wiedzieć i mieć to najgłębsze przeświadczenie, że armja ta gwarantuje mu spokój w pracy i **możliwość przebudowania ustroju gospodarczo-społecznego Polski** w myśl interesów nie uprzywilejowanej grupy szczęśliwców, ale szerokich pracujących mas narodu, które żądają prawa do życia.

I wtedy nie będzie już potrzeby odwoływać się do ofiarności szerokich mas, ale pójdzie Zew przez naród i wszystkie jego warstwy.

Jedno dziś jest uderzające: nie czytaliśmy dotąd, by polska plutokracja przemysłowa „Lewiatan", wielkie syndykaty, kartele, związki polskich inżynierów czy wreszcie związki ziemian brały udział w tym wielkim narodowym wysiłku. Brak ofiarności ze strony tych warstw, które najwięcej przyczynićby się powinny do budowania siły Państwa Polskiego, nas nie dziwi. Powtarzają się stare „szlacheckie czasy beztroski i swawoli, broniących zawzięcie i z uporem resztek dawnej świetności". Lekcja historji . . . poszła w zapomnienie!

Zdaniem naszem na potencjał obrony narodowej składają się nietylko stopień motoryzacji armji i jej technicznzgo wyposażenia, ale również nawet i dzisiaj w wieku techniki i motorów duch panujący w szerokich masach chłopstwa, robotników i pracującej inteligencji, które to warstwy stanowią ponad 80 % całego narodu polskiego.

## Sprawy wsi.

Katastrofalne położenie gospodarcze wsi oraz uświadomienie sobie jego wpływu na kształtowanie się życia gospodarczego Polski obudziły z uśpienia zarówno opinję społeczeństwa jak i czynników rządowych, odpowiedzialnych za los .Państwa. Trzeba było dopiero upływu 17 tu lat odrodzonej państwowości, by zrozumieć tę prostą prawdę, że wobec struktury społecznej Polski (do 70 % ludności zajmuje się rolnictwem i zawodami pokrewnemi), decydujący wpływ na sytuację gospodarczą Państwa będzie miało położenie gospodarcze wsi.

Jakież zatem działają dziś bezpośrednie przyczyny i to w tym stopniu, że zwrócenie się „frontem do wsi", tak jak kiedyś do „morza", czy niedawno do „szarego człowieka", stało się palącą koniecznością państwową. Głównym powodem to skutki odsunięcia się chłopstwa od wymiany towarowej i pieniężnej kraju (powrót do gospodarki naturalnej), które dały się odczuć nietylko na położeniu przemysłu i rzemiosła, pozbawionych swego naturalnego rynku zbytu, ale i pośrednio po przez zmniejszone obroty i wpływy podatkowe na budżecie Państwa.

Wślad za upadkiem gospodarczym wsi postępuje jej upadek kulturalny i fizyczny. Komisje poborowe zwłaszcza na kresach wschodnich stwierdziły cherlactwo fizyczne, niedorozwój i natężenie chorób u elementu poborowego ze wsi w stopniu dotąd niespotykanym. Pamiętniki chłopów, wydane przez Instytut Społeczny w Warszawie, poruszyły do głębi wszystkich, którzy się jeszcze „czemś przejmują". W tej sytuacji możnaby użyć porównania, że na wsi polskiej jest już „za pięć minut dwunasta"; pod groźbą upadku idei niepodległego Państwa Polskiego w szerokich masach chłopskich musimy przystąpić w sprawie wsi polskiej do zorganizowanego i planowego wysiłku.

Ostatnio odbyła się w Warszawie dwudniowa konferencja, poświęcona kulturze wsi, zwołana przez prezesa Rady Ministrów. Wygłoszono szereg bardzo wartościowych referatów, zjechali się działacze wiejscy, nauczyciele ludowi, uchwalono również kilka tez i parę postulatów. Główne prace konferencji odbywały się w komisjach. Jeden z takich postulatów brzmi:

> „Akcja, zmierzająca do podniesienia kultury wsi powinna objąć wszystkie grupy młodzieży wiejskiej w **wieku przedszkolnym,** młodzież szkolną i wreszcie pozaszkolną. Jeśli chodzi o dzieci w wieku przedszkolnym, to tworzone być winny specjalne przedszkola ze względu na to, że . . .".

Słusznie; przypuszczam, że do tego ideału kiedyś w dziesiątem pokoleniu dojdziemy; czy warto zatem mówić nawet na tak szanownej konferencji o rzeczach, które można będzie chyba tak szybko zrealizować jak np. no... zaopatrzenie wszystkich chłopów a co trudniejsze przyzwyczajenie ich do używania szczoteczek do zębów, — lub choćby znalezienie pomieszczenia w izbach szkolnych dla jednego miljona dzieci w wieku szkolnym, pozostających poza szkołą.

A dalej — jedna z komisyj zauważyła, że:

> „Na blisko 5 miljonów młodzieży wiejskiej element zorganizowany liczy niespełna 500 tysięcy. Dlatego należy poczynić wszelkie wysiłki, by do organizacji młodzieżowej przyciągnąć jaknajwiększą liczbę członków, którzy powinni się rekrutować nietylko, **jak to ma miejsce obecnie**, z dzieci chłopów zamożniejszych, lecz również z pośród młodzieży **zagrodniczej, komorniczej i folwarcznej**".

Jest prawdziwą, niezniszczalną zasługą Konferencji, że wpadła na tą „genjalną" myśl o konieczności wciągania do związków młodo-wiejskich również i synów drobniejszych rolników, małorolnych, bezrolnych, komorników i służby folwarcznej. Zaprawdę, naród Rejmonta, Prusa i Żeromskiego nigdy jej tej zasługi nie zapomni.

Największą chyba radość wywołają wyniki i uchwały konferencji wśród rzesz kobiet i gospodyń wiejskich, bowiem jedna z komisyj stwierdziła, że:

„Bez udziału kobiety niema mowy o pełnej kulturze wsi; kobiety bowiem wnoszą do niej **pewne swoiste wartości**“ i dalej „należy dążyć do ułatwienia kobietom spełnienia ich roli w zakresie rodzin, jako podstawowej komórki życia społecznego“.

Zwrócono również uwagę na „nadmierne przeciążenie pracą kobiet wiejskich“.

A więc kobiety wsi polskiej, cieszcie się! Czekają was bowiem inne lepsze czasy! Również będziecie odgrywały samodzielną rolę polityczną, albowiem stwierdzono w roku pańskim 1936-tym w mieście stołecznem Warszawie, że:

„Musicie same siebie reprezentować“.

Nie koniec na tem; — na jednej z komisyj, która zastanawiała się nad tem, z jakich pierwiastków składa się kultura duchowa polskiej wsi (aby odpowiedzieć na pytanie co i jak należy robić), zwrócono uwagę (zasługa byłego premjera prof. Władysława Grabskiego), że:

„Człowiek miasta jest człowiekiem techniki, człowiek zaś wsi jest człowiekiem przyrody“.

Nadzwyczajne odkrycie! Znowu zasługa uczonego — my jednak mamy genjalnych ludzi; — nie jest tak jednak u nas źle!

Najgłębiej ujął sprawę rektor Staniewicz, stwierdzając, że:

„Brak nam środków materjalnych na wsi, ale bardziej niż środków materjalnych **brak ludzi, myśli i dyrektyw**“.

Tak to prawda! Oczywiście nikt z uczestników zjazdu ani żadna z komisyj jakoś nie spostrzegła kapitalnego związku pomiędzy sprawą upełnorolnienia drobnych gospodarstw chłopskich (parcelacji) a poziomem kultury na wsi, tak jak gdyby jednym z głównych warunków podniesienia kultury wsi nie była poprawa jej sytuacji gospodarczej; no, ale trudno było od niej tego wymagać. Zbyt była urzędowa.

Nie jesteśmy bynajmniej przeciwnikami podnoszenia kultury wsi, choćby środkami, zalecanemi przez Konferencję, ale uważamy, że chłop polski nie zakupi książki, nie wyśle syna do szkoły rolniczej, by tam nauczył się praktycznej wiedzy zawodowej i wyższej techniki gospodarowania, a wreszcie sam nie porzuci prymitywnych narzędzi pracy a więc nie osiągnie lepszych wyników w swej pracy, dopóki będzie znajdował się w skrajnej nędzy; jak długo wieś polska będzie się odżywiała tak jak dotąd, wegetowała tak jak to dziś robi, tak długo wszelkie nawet najlepsze wysiłki kulturalno-oświatowe pozostaną bez większych rezultatów.

Oczywiście oprócz tego istnieje ważne zagadnienie ruchu ideowego wsi, mitu kultury tej wsi, który wymaga swoich apostołów i przewodników. Ale o tem na innem miejscu i kiedy indziej.

# „Życie społeczne“ i ideowe.

Życie społeczne w Polsce choruje i to bardzo poważnie. Warunki, w jakich się rozwija a raczej nie rozwija — są złe. Brak jasno i wyraźnie zarysowanej idei przewodniej Państwa Polskiego i jego roli kulturalnej w świecie, wartości moralnych i ideowych, jakie ma wnieść do tego dorobku, utrudnia w dużej mierze jego rozwój. W tych warunkach brak wysoko moralnie i ideowo stojących przywódców i ogromny przerost życia społecznego, objawiający się w działaniu równoczesnem kilku podobnych, jeden cel realizujących organizacyj, utrzymywanych raczej ambicjami osobistemi niż treścią życia organizacyjnego. Sprawą tą zajmuje się p. Adam Uziembło w artykule p. t. „Zmienić stosunek“. (Naród i Państwo nr. 16 str. 6). Autor udawadnia, że mimo olbrzymiej cyfry towarzystw (ponoć w Polsce ponad 55 tysięcy) „życie społeczne śpi i gorzej niż śpi — jest w stanie rozkładu“.

W dalszym ciągu swych słusznych wywodów przedstawia autor proces powstawania takich typowych organizacyj oraz jej strukturę i treść wewnętrzną. Naogół większa część tych stowarzyszeń wszelkiego rodzaju i typu zawdzięcza swe powstanie . . . inicjatywie urzędowej. Powołuje się takie stowarzyszenie na podstawie porozumienia pomiędzy jakimś „działaczem“, posłem, senatorem, generałem itp. a paru dygnitarzami.

„Dygnitarze mają do rozporządzenia subsydjum dla wykonania pewnych prac. Działacz ma dobrą wolę spożytkowania tego subsydjum“.

Statut naturalnie zostaje szybko zatwierdzony, znajduje się oczywiście wiele chętnych . . . w tych warunkach członków, najczęściej podwładnych lub w jakimśkolwiek stosunku zależności do tych dygnitarzy pozostających osób; jakże wygląda życie wewnętrzne takiej „urzędówki“: działacz dobiera parę osób do zarządu, spędza kilku ludzi na walne zebranie, na które przybywa jego rodzina i paru funkcjonarjuszy instytucji, w której pracuje. Nikt nie wie, kto jest członkiem, kto gościem. Wszystkie uchwały przechodzą oczywiście jednogłośnie, wybory en bloc przez aklamację . . . i robota wre! Kto z nas nie zna choć kilku organizacyj o tym typie i takiej działalności!

Autor artykułu powiada słusznie dalej:

„Życie społeczne potrzebuje swobody, potrzebuje wolności, potrzebuje oddychać pełną piersią. Jeżeli nakłada mu się pęta, jeżeli się je etatyzuje — ono ginie. Wtedy żywioły czynniejsze uciekają się do polityki, wyżywają się na zebraniach protestacyjnych, na dyskusjach zażartych — żywioły bierniejsze ciągną kierat fikcyj społecznych bez jakiegokolwiek pożytku dla państwa, dla obywateli“.

W końcu autor wysuwa na obecną chwilę 3 ważne postulaty, od których zrealizowania niewątpliwie zależy w pewnej mierze (zdaniem mojem) podniesienie poziomu tego życia a to

1. odrzucenie systemu koncesyjnego, powrót do systemu rejestracji,

2. zaprzestanie ze strony urzędów tworzenia towarzystw i instytucyj fikcyjnych „owych zarządów i komitetów bez członków, żyjących samemi subwencjami“,

3. bezwzględne wyłączenie jakiegokolwiek nacisku ze strony przełożonych na podwładnych w kierunku należenia do jakiegokolwiek stowarzyszenia.

Im wcześniej te postulaty zostaną spełnione tem lepiej dla atmosfery moralnej życia społecznego w organizacjach. Ale i to nie wszystko .... AL. M.

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Plebiscytowa 1. Telefon Nr. 307-51. Konto P. K. O. Nr. 304-581.

Wydawca i Redaktor: Paweł Musioł. Redaktor odpow.: Zdzisław Hierowski.

Abonament: rocznie 5,— zł, półrocznie 3,— zł, kwartalnie 1,50 zł, numer pojedynczy 0,50 zł.

Ceny ogłoszeń: $^1/_1$ strona 200,— zł, $^1/_2$ strony 100,— zł, $^1/_4$ strony 50,— zł, $^1/_8$ strony 30,— zł, $^1/_{16}$ strony 15,— zł. Drobne ogłoszenia 0,25 za słowo.

Druk: Zakłady Graficzne „Mercuria“ Siemianowice Śl.